№ 43. Warszawa, dnia 13 (25) Października 1882 r. Rok XVII.—Tom XVIII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

WIECZNOŚĆ MIŁOŚCI.

Żadna wielka myśl nie ginie, chociaż giną ludzie:
Co się dzisiaj nie dokona w ciężkiej pracy trudzie,
Jutro wezmą na ramiona ci, którzy nadchodzą,
Te Popiele, co z popiołów na zgliszczach się rodzą.
Tak się ciągną wielkie sprawy przez wieków łań-
[cuchy,
Tak idei hasła święte dają sobie duchy;
Ze krwi ojca, z mleka matki dziecko w pierś to
[bierze,
Co przerodzi mu się w sercu na młode i świeże,
I jest siłą, jest potęgą, co duchy zagrzewa,
Tyrteusza pieśnią, którą milion głosów śpiewa,
Objawieniem Ezechiela wśród spróchniałych kości,
Jest tęsknotą, jest nadzieją—wiecznością miłości....

M. *I.*

GROBOWIEC KRÓLA-POKUTNIKA.

W historyi każdego narodu obok faktów głównych, które, według matematycznego porównania, są koniecznemi wyrazami ogólnego postępu dziejów, znajdują się wydarzenia pomniejszej wagi, których poznanie w niczem do wypełnienia i wyrozumienia przeszłości przyczynić się nie może, a jednakże w badaczach i miłośnikach jej żywe wzbudza zajęcie. Interes wszystkich takich badań i odkryć jest czysto-historycznym, sprowadza się zawsze do rozwiązania wątpliwości: czy dany wypadek istotnie się stał, bez względu na to, jaka była jego ważność w wielko-dziejowem życiu narodu; prawda historyczna, zaspokojenie szlachetnej ciekawości stanowi zawsze jedyny cel poszukiwań i rozpraw naukowych, w każdym podobnym przedmiocie podejmowanych. Nikt z dziejów naszego narodu nie wytrąci, naprzykład, kwestyi: jaki był stosunek protestantyzmu do katolicyzmu w XVI wieku; jak się zachował, co zrobił i co mógł zrobić Starosta Bełzki na Zjeździe Warszawskim po skonie Zygmunta Augusta; jaka była wartość obu stronnictw ścierających się z sobą podczas Wielkiego Sejmu i Targowicy; jakie były współczynniki zewnętrzne zawzięcia się Bolesława na biskupa, jaki charakter gwałtownych wypadków, które poprzedziły fatalną katastrofę: pominięcie jednego z takich zadań, równałoby się okaleczeniu samych dziejów. Ale poważny nawet historyk może pominąć kwestye: Szczerbca Chrobrego, samozwaństwa po śmierci Warneńczyka, przysięgi Jana Kazimierza we Lwowie, losów skarbca krakowskiego po r. 1794 i t. p. Do tego rodzaju zagadnień, nieistotnych dla dziejopisarstwa, lecz tylko urokiem prawdy historycznej nęcących ku sobie, należy i to: jakiego losu doznał, gdzie się tułał, jak ostatnie dni życia spędził i gdzie zmarł Bolesław Śmiały, po zabiciu biskupa Stanisława Szczepanowskiego i opuszczeniu kraju. Dla rozwiązania tej kwestyi podjęto w ostatnich czasach nową pracę, która daje nam sposobność do zwrócenia uwagi czytelników, na przedmiot, ważniejszy bezwątpienia dla epopei króla, niż dla historyi narodu, ale przez wielkość i tajemniczość postaci, mający prawo do zajęcia każdego podnioślejszego umysłu.

I.

W Sierpniu roku 1881 p. Stefan Buszczyński odbył podróż do Ossiachu w Karyntyi, gdzie według utrwalonego od wielu wieków podania zmarł nasz król-bohater, jedna z najzdolniejszych osobistości, jakie zasiadły na tronie Piastów; czekająca jeszcze na historyka, któryby ją bez złości i maleńkości umysłowej w duchu Maciejowskiego i Lelewela odmalował. Od wieku wieków znajduje się w Ossiachu, przy kościele dawnego klasztoru Benedyktynów, napis grobowy i miejsce uważane za grobowiec króla-pokutnika; na murach kościelnych występują freski wyobrażające przygody z jego życia; z kroniki do kroniki przechodzi podanie o miejscu skonu i wiecznego spoczynku Bolesława, wzbogacone, i zawsze przytem niekorzystnie zabarwiane bałamutnemi dziejami jego tułactwa; a jednakże historycy poważni, jak Lelewel, w *Grobowcu Bolesława Śmiałego* i t. d. w *Polsce Wieków Średnich*, Tom II, wątpią o rzeczywistości faktu. P. Stefan Buszczyński w przejeździe do Włoch postanowił na miejscu zbadać zachowane pamiątki i świadectwa historyczne, aby z badania tego wyprowadzić dane, zdolne stanowczo wesprzeć przekonanie, wypowiedziane przez Przeździeckiego w *Śladach Bolesławów Polskich po obcych krajach*, to mianowicie: że pamiątka pokazywana w Ossiachu jest rzeczywistym grobowcem Bolesława, w którego wnętrzu mieszczą się doczesne szczątki wielkiego wojownika. W przygotowywanej do druku monografii miłośnik przeszłości ojczystej zdaje sprawę z tego, co na miejscu znalazł; a ogłoszony z monografii tej wyjątek pozwala nam powziąć o dokonanej pracy i sposobie naukowego jej spożytkowania następujące wyobrażenie.

Przybywszy d. 20 Sierpnia 1881 r. do Ossiachu, odległego o pół godziny drogi koleją żelazną od miasta Villach, a 7 mil od Klagenfurtu, podróżnik nasz dostał się do grobowca Bolesława od strony

jeziora Ossiach. Od wybrzeża kilka schodów prowadzi do furtki w murze otaczającym cmentarz kościelny; za tym pierwszym murem znajduje się drugi, po za którym dopiero rozciąga się właściwe terrytoryum kościelne. Nieco naprawo od wejścia i przeciwległych mu, a zamurowanych dziś, drzwi kościoła, przy załamie muru, znajduje się piękne ogrodzenie z lanego żelaza, wskazujące miejsce tradycyjnego grobowca Bolesława Śmiałego i zapraszające do siebie uprzejmie Polaka słowami, ułożonemi z liter mosiężnych: *Sarmatis peregrinantibus salus* (Wędrowcom z Sarmacyi pozdrowienie). O takiem znaczeniu tego miejsca, zawiadamia płyta kamienna, wpuszczona w mur kościoła, mająca wzdłuż 1 m. 55 centymetrów, w wyż 1 m. 4 cent. „Pośrodku tej płyty — pisze p. B.— w rzeźbie trochę wypukłej, przedstawiony koń bez jeźdźca, z cuglami i siodłem bez strzemion. Cugle i siodło znacznie przez czas zatarte i ledwie dostrzegalne". Kamień, z którego zrobiono płytę, należy do gatunku kwarców, ma być twardym, jak marmur; białość jego przybrała przez czas barwę ciemno-szarą.

Konia otaczają ramy wykute w kamieniu; wdłuż nich biegnie napis łaciński: *Rex Boleslaus, Polonie* (sic) *occisor Sancti Stanislai epi. Cracoviensis* (król Bolesław, Polski, zabójca św. Stanisława biskupa krakowskiego). Nad płytą wisi niedawny obraz, na drzewie, wyobrażający główne wypadki z życia króla. Jest on kopią z obrazu starożytniejszego, zniszczonego już bardzo przez wpływy atmosferyczne, a przechowywanego w kaplicy. Oryginał pochodzi z XVII wieku. Obraz małe ma znaczenie i jako świadectwo i jako utwór sztuki; zajmujący jest tylko napis na nim: *Boleslaus Anno MLXXXX.* Poniżej płyty znajduje się arkada sklepienia, widocznie należącego do grobowca. Daje się ono widzieć od wnętrza kościoła na poziomie posadzki, z lewej strony od głównego wejścia frontowego. Tu wymiary jej, zdjęte przez podróżnika, mają w długości 1 m. 85 cent., w wysokości 1 m. 2 cent., w szerokości 90 cent. Początek arkady od ołtarza bocznego odległym jest o 1 metr. Z drugiej strony tego ołtarza wisi w ramkach za szkłem dokument, pochodzący od znanego mecenasa i miłośnika rzeczy ojczystych, Wojewody Nowogrodzkiego, Józefa Alexandra Jabłonowskiego, założyciela lipskiej *Societatis Jablonovianae*, autora *Musaeum Polonum, Dodecas ducum* i wydawcy mapy Zannoniego. Wystawiony w Październiku 1762 r., dokument ten opiewa, że Jabłonowski przybył do Ossiachu po siedmiu wiekach, aby podziwiać fenomen Króla-Pokutnika, ojca ojczyzny..... który tu spoczywa złożony pod ołtarzem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia. Ze słów tych widać, jak słusznie uważa p. B., że ołtarz odsunięto znad grobu już po odwiedzinach Wojewody.

Zbierajmy dalej nieliczne już pamiątki. Napotykamy w kościele freski, których wieku prawdopodobnego p. Buszczyński nie oznacza. Ma ich być sześć, w owalnym kształcie; wszystkie przedstawiają sceny z życia króla gwałtownika: ucieczkę, pokutę, śmierć i złożenie do grobu. Oznaczenie czasu, w którym powstały te malowidła, byłoby bardzo pożądanem.

Ważniejszym od fresków zabytkiem jest spinka, z grobowca za owem ogrodzeniem żelaznem zewnątrz kościoła, przed czterdziestą parą laty wyjęta, a do czasów p. Buszczyńskiego przechowywana na probostwie, wraz z odnoszącemi się do pochodzenia jej świadectwami. Niegdyś mieli jeszcze Benedyktyni osiaccy pierścień Bolesława, ale ten zaginął w 1748 r., a gdy potem kazali zrobić jego naśladowanie, i to w sto lat później doznało losu swego pierwotworu: spinka zatem przedstawia się dziś jako jedyna pamiątka po królu, jeżeliby grobowiec, z umieszczenia swego i znamion zewnętrznych wyżej opisany, rzeczywiście mieścił w sobie zwłoki królewskie. P. Buszczyński, wierzący niezbicie w prawdziwość pomnika i w rzeczywistość skonu i pochowania króla w Ossiachu, miał silniejszą od innych pobudkę do przeniesienia pamiątki w miejsce bezpieczne i ze względu na charakter jej narodowy odpowiedniejsze. Wracając już tedy do kraju z Południa, wstąpił powtórnie do Ossiachu i wymógł na proboszczu kościoła, księdzu Andrzeju Kraińcu, odstąpienie spinki na rzecz Akademii Umiejętności; pamiątkę zabrał ze sobą i d. 4 Marca 1882 r., złożył ją Biskupowi Krakowskiemu, Dunajewskiemu, wobecności pp. Łepkowskiego, Przeździeckiego Konstant. i X. Polkowskiego. Doręczenie stwierdzono umyślnym protokółem, którego kopią wraz ze świadectwem przesłano do Ossiachu. Zabytek z grobowca uważanego za królewski pomnożył skarbiec dawnych pamiątek na Wawelu. Spinka ta jest ze spiżu, znać na niej ślady złocenia; dziś barwa jej ciemnozielonawa: na dwóch końcach jej są dwie główki karbowane, odległe od siebie o 32 milimetry; długość całego zabytku do 45 milimetrów dochodzi. Pamiątkowy ten przedmiot służył niegdyś do spinania płaszcza.

O żadnych już innych pamiątkach rzeczowych, zachowanych w Ossiachu, po zmarłym królu, nie znajdujemy wzmianki w sprawozdaniu p. Buszczyńskiego. Opis, po niezbędnem uporządkowaniu go tutaj streszczony, jest od poprzednich szczegółowszym, ale nie powiemy, aby był dokładniejszym. Przeździecki, któremu w zupełności ufać możemy, objaśnia nas, że obraz nad płytą kamienną jest olejnym, podczas restauracyi kościoła w 1839 r., odmalowanym z dawniejszego zniszczonego przez czas. Na tym obrazie, oprócz postaci rycerza w zbroi, z hełmem na koronie, wyobrażającej króla, mieści się po obu stronach siedm malowideł mniejszych, tożsamych co do treści z owemi freskami, które Przeździecki dokładnie opisuje, mówiąc, że się znajdują nad oknami, że mają kształt podłużny, a odtwarzają siedm następujących scen: 1) Biskup krakowski wyrzuca Bolesławowi jego życie występne; 2) Biskup modli się, klęcząc pod krzyżem jaśniejącym na niebie; 3) Bolesław zabija biskupa, odprawiającego Mszę Świętą; 4) Bolesław jako pielgrzym; 5) Bolesław noszący drwa do kuchni klasztornej; 6) Bolesław na łożu śmiertelnem, otoczony zakonnikami; 7) Zakonnicy niosą zwłoki Bolesława do grobu. Freski malował podobno jakiś małoznany Frohmüller [1]). Kamień płyty ma być, nie kwarcytem, ale marmurem karraryjskim. Cały opis swój wziął Przeździecki z listu Jana Drewaczyńskiego, w 1852 r., który, sam będąc artystą, zabytki sztuki mógł bez błędu rozpoznać. Do *Śladów Bolesławów* dołączone jest wyobrażenie spinki, oraz bardzo staranny rysunek tablicy nadgrobnej, zamieszczony również i we *Wzorach sztuki średniowiecznej.* Pominął pan Buszczyński szczegół, że wiersz łaciński, znaleziony przez niego w księdze probostwa, a podany tu niżej, znajdował się niegdyś pod pierwotnym obrazem, towarzyszącym nagrobkowi i że pod tym wierszem był rok śmierci Bolesława 1089. Wymiary nagrobka podaje Przeździecki w łokciach i calach. Rzeźba konia ma wypukłość 4 cali. Kamienie, któremi dziś zarzucone jest miejsce za ogrodzeniem, stanowiły jeszcze w r. 1852 porządną posadzkę kamienną, ułożono tam przy odnawianiu w 1839 r.

Grobowiec zatem jest, lecz kiedy powstał i czy rzeczywiście mieści w sobie szczątki królewskie? Wskazówką wieku pamiątki może być zarówno sam rysunek i wyrzeźbienie konia, jak i pismo w otoku. P. Buszczyński rzeźbie daje wiek XIII; Drewaczyński, wysłany przez Przeździeckiego, jakkolwiek artysta, na oznaczenie czasu według znamion artystycznych odważyć się nie mógł. Czacki, w przypisku do Historyi Naruszewicza, w wydaniu Mostowskiego, niebędąc sam na miejscu, a mając niedokładny rysunek pisma, odniósł je do wieku XIII lub XIV. Lelewel był w takiemsamem położeniu i przyjął ten ostatni wiek, jako z charakteru liter wynikający; później, w drugiem wydaniu swej rozprawy, błąd sprostował, ale dodatnio nic jasnego nie powiedział. Przeździecki nie rozstrzygnął wątpliwości; słusznie tylko wniósł z pisowni „Polonie", że pomnik musiał powstać przed XVI w. Z powołanego przezeń świadectwa Dąbrówki, kommentatora Kadłubka, którego przytacza i Lelewel, widać, że już przed r. 1440 — czasem działalności tego kronikarza — istniał w Ossiachu jakiś pomnik, a na nim znajdować się miał tensam napis, który dziś czytamy, z dodaniem tylko na początku wyrazów: „Hic jacet", a mogło być i tosamo co dziś wyobrażenie konia. Obaj badacze, na przeciwnych biegunach stojący, przytaczają charakterystyczne słowa dopełniacza Kadłubkowego: *Apud nos talia* (oczyszczająca pokuta króla i jego grobowiec przy kościele) *non famantur, nec divulgantur populo, ne facilitas veniae faceret incentivum delinquenti"* [1]). Długosz, piszący w kilkadziesiąt lat po Dąbrówce, nic jednak nie wie o pomniku, bo i nic o Ossyachu nie mówi; podanie przecież samo o pokucie i śmierci w klasztorze przyjmuje, tylko je do innej odnosi miejscowości, mianowicie do łacińskiej *Wilthina*, dzisiejszego Weltau pod Innsprukiem, nad rzeczką wpadającą do Innu. [2])

Płyta nadgrobkowa, wyżej opisana, istniała już napewne, w dzisiejszej postaci i dzisiejszym charakterze swoim, w środku wieku XVI. Niezbity na to dowód znaleźliśmy w Kromerze. Historyk ten świadczy, że wielki jego przyjaciel, znamienity i dobrze uczony młodzieniec (późniejszy prałat Kościoła † 1573), Walenty Kuczborski, jadąc do Rzymu ze Stanisławem Hozyuszem, wówczas jeszcze, nie kardynałem, ale już Biskupem Warmińskim [3]) „widział w klasztorze ziemie Karwackiey (*tak*), Ossyą rzeczonym, a półmile od miasteczka Feltkirchu leżącym, kamień na cmentarzu położony, który konia z siodłem pięknie wyrytego nosi i tak nagrobek opiewa: *Bolesław król Polski, Stanisława Biskupa Krakowskiego, morderca"* [4]).

Pomnik mógł być postawionym w wiele lat po śmierci; mógł istnieć już za Dąbrówki w dzisiejszej swojej postaci, a może być również, że go dopiero później, w każdym razie nie przed czasem podróży Kuczborskiego, postawiono. Nic przytem nie zbija możliwości istnienia innego pomnika, przed wmurowaniem dzisiejszego. Samo nazwanie Stanisława „świętym" nie pozwala na przypuszczenie, żeby pomnik dzisiejszy mógł powstać przed r. 1253, w którym Innocenty IV kanonizował biskupa z wielką uroczystością w Assiżu; niemożność ta na wyższym jeszcze stopniu występuje wobec charakteru pisma, które jest od wieku XIII późniejszem. Zarówno pisownia jak rysunek konia upoważniają do mniemania, że dzisiejszy nagrobek powstał w XV w. Kto go postawił? Nieznana ręka, mówi Lelewel, a tosamo i my powtórzyć musimy. Jeżeli istniał dawniejszy pomnik, kto wie: czy na nim nie było tak samo wyobrażenia konia, nawet bez napisu? Tym sposobem mogli zakonnicy zabezpieczyć dobrą sławę swej religijności od zarzutu trzymania z wyklętym, a jednocześnie spełnić dług wdzięczności i trwałej serca pamięci. Umieszczenie nagrobka zewnątrz kościoła wskazuje pewną lękliwość wobec najwyższej władzy Kościoła, która przez kanonizowanie ofiary w głębszą jeszcze ohydę podała zabójcę. Później, gdy żarliwość ostygła, gdy Kościół po antypapieżach w XIV w. musiał zaraz w XV walczyć z odszczepieństwem we własnem łonie, aby wreszcie dożyć tej wielkiej przegranej, która się reformacyą nazywa, mogła i pamięć króla-za-bójcy odważniej wystąpić w miejscu świętem; przyczem jednak nagrobka do wnętrza świątyni, choćby tylko do kaplicy, nie wprowadzono. Bądźcobądź ta nieznana ręka, o której mówi Lelewel, mogła być nawet ręką człowieka intellektualnie trzymającego z królem, z jego zasadami i kierunkiem politycznym; ale nie mogła być nigdy ręką fałszerza stawiającego *mala fide* pomnik królowi, któregoby szczątki wcale w Ossiachu nie istniały: byłoby to działanie bez przyczyny i celu, czyn martwy, propaganda czcza i niezrozumiała. Ktokolwiek pomnik postawił, musiał go stawiać w dobrej wierze, w przekonaniu, że go stawia

1) Nagler nie zna wcale malarza Frohmüllera.

1) „U nas takie rzeczy nie rozgłaszają się i nie rozszerzają pomiędzy lud, aby łatwość przebaczenia nie dawała podniety winowajcy".

2) *Historia Polonica* ed. Przeździeckich, ogólnego zbioru dzieł T. X, str. 380. W Wilthinie niéma żadnych śladów po Bolesławie.

3) Na Katedrze Warmińskiej zasiadł Hozyusz w r. 1551, kardynałem został w 1561. Przy obfitości świadectw biograficznych i śladów działalności dostojnika kościelnego data podróży z Kuczborskim dałaby się bliżej określić.

4) *Kronika Polska;* przekład Marcina Błażowskiego, ed. Turowskiego, str. 186.

nad zwłokami króla. Jakiż interes mogli mieć Benedyktyni osiaccy choćby tylko w tolerowaniu fałszu, w umieszczeniu fałszywego napisu, w przekazywaniu legendy królewskiej z pokolenia w pokolenie, jeżeli ani napisu, ani legendy nie wspierała rzeczywistość? Gdyby Ossiach leżał w Polsce, tytuł ostatniego schronienia króla i miejsca jego skonu mógłby być dla zakonników źródłem dochodu: możnaby zatem podejrzewać ich o rozmyślne utrwalenie błędu i rozmyślne korzystanie z niego; ale w Karyntyi, na ziemi obcej, posiadanie grobu Bolesława Śmiałego było faktem w ogóle tak obojętnym, tak małoznaczącym, że ani pielgrzymek do klasztoru, ani darów, ani fundacyj, choćby najlżejszych, zakonnikom zjednywać nie mogło. Nie potrzebowali Benedyktyni Ossiaccy Bolesława Śmiałego, ani dla sławy swojej, ani dla chleba; wierzyli w prawdziwość pomnika, a skoro wierzyli, musieli mieć do tego podstawy w tradycyi płynącej z biegiem czasu. Zaginienie pierwszego, bezpośredniego świadectwa nie znosi wiarogodności późniejszych: dopóki nie było interessu w *podrobieniu*, dopóty szala prawdopodobieństwa na stronę tradycyi przechylać się będzie.

Ważną okolicznością w sprawie jest to, że żadna dotychczas inna miejscowość nie może się takiemi pamiątkami do osoby króla przywiązanemi pochlubić. W owej długoszowej „Wilthinie“ pustki i milczenie zupełne, a historycy węgierscy nic o skonie pokutniczym Bolesława na Węgrzech nie wiedzą. Ossiach sam jeden z pamiątkami swemi, zabytkami, tradycyą i poszanowaniem historycznem dla pokutnika występuje. Ogólnikowe wyrażenia, że król w ten lub ów sposób zmarł na Węgrzech, wobec szczegółowości podania ossiackiego wagi mieć nie mogą. Dawniejsi nawet kronikarze węgierscy, mówiąc szeroko o czynach wojennych Bolesława, który swym mieczem aż do Karyntyi sięgnął, i dla całej Europy wschodniej od Dunaju środkowego do Dniepru był prawa dyktującym mocarzem, nic nie mówią o jego skonie. Mógł zabójca biskupa pierwsze lata wygnania na Węgrzech przepędzić; mogła się w nim skrucha, bądź z zamiarem upadnięcia do nóg papieżowi, bądź bez takiego zamiaru, objawić nie tak prędko wszakże, jak chcą niektóre kroniki, ale dopiero po pewnym czasie. Wygnaniec obyczajem swoim używał życia, kąpał się w niem, bodaj nawet na dworze cnotliwego Władysława, swej kreatury, swego wychowańca i jakby syna; aż wreszcie przyszła jakaś *vis major*, może śmiertelna choroba, i ona-to dopiero tego mocarza, nawet na wygnaniu nie przestającego być królem, rzuciła na drogę pokuty. Podanie o wyjściu do Węgier z Polski ani historycznie ani logicznie wcale się nie sprzeciwia podaniu o śmierci w Ossiachu; oba one, z podstawieniem tylko „Wilthiny“ godzą się ze sobą u Długosza. Tradycya ossiacka, wsparta świadectwami miejscowemi, trwałością i nieprzerywalnością wiary w rzeczywistość, niepodobieństwem moralnem fałszu, wreszcie zabytkami, jakich żadna inna miejscowość nie pokazuje,—musi mieć większą powagę od zaprzeczeń które, jak u Lelewela, nie opierają się na żadnych faktach, na żadnych istotnych przeszkodach historycznych. W pierwszej rozprawie o Szczodrym (*Upadek Bolesława*) mieści się wielkie bogactwo myśli i spostrzeżeń do polityki króla i przyczyny jego upadku, pomijanych lub nie dość cenionych przez dzisiejszą nową szkołę historyczną, pogardzającą w ogóle Lelewelem; ale druga w dowodowej swej części jest całkiem bezsilną: wielki dziejopisarz nikogo nie przekona, że nagrobek w Ossiachu jest tylko prostem epitaphium pamiątkowem, bez rzeczywistej śmierci i rzeczywistych zwłok królewskich.

Zdaje nam się, że dowód logiczny p. Buszczyńskiego za Przeździeckim, a przeciwko Lelewelowi będzie musiał pójść, jeśli nie tymsamym torem, któryśmy tutaj wytknęli — to równolegle z nim; dowody zaś historyczne, oile stan ich znamy, będą mogły tylko wesprzeć to, co zrobi sama logika.

(Dokończenie nastąpi).

KRÓLEWIEC I GRUNWALD

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S***

(Dokończenie).

XIII.

W przeddzień wiekopomnej bitwy stoczonej dnia 15 Lipca 1410 roku, wojska polsko-litewskie i zakonne stanęły naprzeciw siebie, między Grunwaldem i Tannenbergiem, i jak tylko około wieczora porozbijano namioty, wielki książę Witold kazał zawezwać do siebie rycerza polskiego Długosza, rodzonego ojca naszego słynnego dziejopisa.

Mężny wojownik, podówczas jeszcze w rozkwicie męzkiego wieku, cały w stalowej zbroi, gdzieniegdzie kurzawą pochodu okrytej, stanął wkrótce w namiocie i zatrzymawszy się o parę kroków przed potężnym władcą Litwy, zapytał z rycerską swobodą:

— Śpieszę na wasze wezwanie, najjaśniejszy książę. Cóż mi rozkazać raczycie?

— Panie Długosz!—odrzekł Witold—widziałem was na polu bitwy: wiem czego po waszej waleczności spodziewać się można: żądam od was rycerskiej usługi.

Z temi słowy, wielki książę rzucił badawcze spojrzenie na wyniosłą postawę Długosza i po krótkiej chwili przemówił znowu:

— W obozie krzyżackim jest trzech komturów: Andrzej Sonnenberg, Markward Salzbach i Henryk Schwelborn. Czy znacie ich choć z twarzy, szlachetny rycerzu?

— Znam tylko dwóch, to jest Salzbacha i Henryka Schwelborn, o Sonnenbergu zaś tylko słyszałem—odpowiedział Długosz.

Wielki książę klasnął w dłonie i w tej-że chwili ukazała się nowa postać w namiocie.

— Oto jest rycerz żmujdzki Waldemar Birmund — rzekł książę Witold: — jeżeli przyjmiecie na siebie moje poruczenie, panie Długosz, to go oddam pod wasze rozkazy, wraz z jego stu dobranymi kopijnikami. On wam pokaże Sonnenberga w jutrzejszej bitwie.

Długosz, który znał księcia a jeszcze więcej o nim słyszał, wytężył całą uwagę, iżby ani jednego z jego słów nie uronić.

— Oddziały tych trzech komturów—mówił dalej książę Witold—wynoszą razem 1.600 ludzi, po większej części *wityngów*, stać będą jeden przy drugim, iżby się wspierać nawzajem. Mimoto od samego początku bitwy będą one miały dużo do czynienia. Jeden z dowódzców mojego wojska, ze swojemi smoleńskiemi drużynami, będzie na nich nacierał: być może nawet, że mimo ich wyćwiczenia, zmusi ich do cofnięcia się. Czy rozumiecie mnie?

— Rozumiem, najjaśniejszy książę! Rozkażecie mi zapewne, iżbym z panem Birmundem i jego kopijnikami a oraz z tymi kilkudziesięciu żołnierzami, których mam pod sobą, poparł skutecznie owego dowódzcę smoleńskiego?

— Nie, panie Długosz! Zapomnij o Smoleńszczanach, zapomnij nawet o krzyżackich wityngach i zwróć całą swoją uwagę na trzech komturów; staraj się ich wziąć do niewoli. Jesteś rycerzem pełnym odwagi i siły, masz wiele doświadczenia, zręczność, którejby ci nawet Krzyżacy mogli pozazdrościć. Od dnia rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich [1]), w ciągu tych trzech tygodni, wziąłeś już do niewoli niejednego w utarczkach podjazdowych: jestem więc pewnym, że spełnienie mojego poruczenia przyjdzie ci łatwiej, niż każdemu innemu.

Długosz zamyślił się i po niejakiej chwili odpowiedział:

— Mówiąc bez zamniemania a szpetnej i niegodnej rycerza chełpliwości, uważam, miłościwy i najjaśniejszy książę, iż łatwiej-by mi było owych trzech Krzyżaków położyć trupem na polu bitwy.

— Wierzę temu, szlachetny rycerzu! — odrzekł książę.—Ale nie o to mi idzie. Żaden z nich nie powinien zginąć w jutrzejszym boju, ani nawet w jakimbądź innym.

Długosz, mocno zdziwiony oświadczeniem księcia, nie pokazał jednak tego po sobie. Długosz był rycerzem ze straży królewskiej i jeździł nieraz w eskorcie poselskiej, to do fałszywego Zygmunta króla węgierskiego, to do Krzyżaków—umiał milczeć. Nienawidził wprawdzie Niemców i nie mógł pojąć dlaczego wielki książę osłaniał swoją opieką tych trzech komturów; lecz nadto był doświadczonym, iżby roztrząsać tajemnice potężnych mocarzy.

Witold zalecał mu zapomnieć o całej bitwie i starać się jedynie o ujęcie tychże komturów: było to może niezgodne z jego rycerskiem powołaniem, które mu przedewszystkiem bić się z nieprzyjaciołmi nakazywało; ale najlepszym sędzią jego obowiązków był hetman polski Zyndram z Maszkowic, który go sam do wielkiego księcia posłał. Cokolwiekbądź, Długosz namyślał się jeszcze nad odpowiedzią, kiedy Witold zapytał go znowu:

— I cóż, rycerzu?

— Najjaśniejszy książę! Słowo szlachcica i rycerza równa się przysiędze: co będzie, jeżeli go nie dotrzymam? Trudno losy bitew przewidzieć. Być może ja sam polegnę, być może którykolwiek z tych komturów, albo nawet wszyscy trzej zginą, zanim zdołam ich ująć.

— Nie mówię wcale o wypadkach niezależnych od woli i mocy człowieka—odrzekł książę.—Lecz jeżeli, ani śmierć, ani żadna inna niezwalczona przeszkoda nie zajdzie, czy przyrzekasz mi, panie Długosz, swojem rycerskiem słowem, że jedynie tylko o spełnienie mej woli starać się będziesz?

— Przyrzekam, miłościwy książę!

— Dziękuję wam, szlachetny rycerzu! Ale być może,, tych stu kopijników będzie dla was zamało, aby dotrzeć do tamtych trzech komturów?

— Wystarczy, najjaśniejszy książę! Mam ja pod sobą pięćdziesiąt tęgich i wypróbowanych włóczni. Utorujemy sobie drogę, choćby nam tu i ówdzie stawiono opór. Pamiętam przytem słowa waszej wielko-książęcej mości: te trzy chorągwie krzyżackie będą miały dosyć do czynienia ze smoleńskiemi drużynami.

— Tak jest, szlachetny rycerzu! — odpowiedział książę.—Idźcie, idźcie! Niechaj wam Bóg i najsprawiedliwszy sędzia dopomaga!

Gdyby jednakże, w tej wojnie, spotkała was jaka zła przygoda, bądźcie spokojni! Ja wezmę pod opiekę waszą małżonkę i dzieci.

— Dziękuję wam, najjaśniejszy i miłościwy książę!—odrzekł Długosz z głębokim ukłonem.—Lecz, jeżeli mi Bóg pozwoli spełnić wasz rozkaz, to cóż mam uczynić z jeńcami?

— Stawicie ich przedemną lub zdacie na ręce Rumbowdowi, marszałkowi litewskiemu.

XIV.

Nastał nareszcie ów dzień piętnasty Lipca, „dzień wiekopomnej sławy i klęski Zakonu!“—tak się, w boleści serca, wyraża jeden z historyków niemieckich. I nikt zaiste rycerskiej waleczności poległym pod Grunwaldem Krzyżakom nie odmawia. Lecz jeżeli to był dzień sławy dla zwyciężonych, to czem-że był dla zwyciężców? Czem był dla

1) Kroki wojenne rozpoczęły się d 23 Czerwca 1410 r.

Polski i Litwy i dla owego lechickiego rycerstwa, które połamało, jak wodną trzcinę, włócznie i miecze krzyżackie?

Znane są dzieje dnia tego, aż do najdrobniejszych, lecz zawsze słynnych wypadków. Wielki mistrz zakonu Ulryk von Jungingen, marszałek Fryderyk hrabia Wallenrod, wielki komtur Konrad von Lichtenstein, podskarbi Jan hrabia Sayn, Jan hrabia Schwarzbach, Albrecht hrabia Wende, Zygmunt von Ramingen, Gamrat von Pinzenau i czterech innych komturów i przełożonych, znalazło sławny zgon na polu bitwy.

Czterdzieści tysięcy trupów krzyżackich okryło pola między Grunwaldem i Tannenbergiem.

Kazimierz książę Szczeciński i Konrad książę Oleśnicki z wielką liczbą poszli w niewolę.

Szczupły tylko zastęp krzyżacki, pod wodzą mężnego Henryka Reuss von Plauen [1]) i dwóch innych komturów, cofnął się z pola boju w dobrym porządku, z rozwiniętemi sztandarami — ich przynajmniej śmierć oszczędziła.

Potęga Zakonu starta została nazawsze — pozostało mu tylko imię i cień dawniejszego znaczenia. Spełnił się nad nim wyrok sprawiedliwości Boskiej, za zbrodnie i krzywdy, których się Krzyżacy przeciw ludzkości dopuścili.

Lecz co się stało z Wernerem von Tettingen, głównym podżegaczem do wojny, który hrabiemu Wende, rycerzowi bez skazy i w tymże dniu poległemu, brak odwagi zarzucał? Werner von Tettingen pierwszy uciekł z pola z bitwy pod Grunwaldem i dostał się do Malborga.

Skończył się wielki dramat dziejowy i przez ostatnią scenę bałwany krwi przepłynęły. Słońce piętnastego Lipca pochylało się na zachód i król Władysław Jagiełło, monarcha nazbyt dobrotliwy, jadąc z bitwy, po okrytem trupami pobojowisku, mówił do swojego zbawcy, Zbigniewa Oleśnickiego, walecznego między walecznymi:

— Klęska, którą ci zakonnicy sami na siebie ściągnęli, przeraża mnie aż do głębi duszy; ich krew spada na moje sumienie!

— I któż ich do tej wojny popychał? — odrzekł rycerz. — Pomyślcie, Najjaśniejszy Panie, o długich latach pokoju, których wasi wierni poddani po tym pamiętnym dniu używać będą.

— Zaprawdę, miłościwy królu!—przemówił biskup płocki:—wasze sumienie w obliczu Pana Zastępów czystem jest jak łza. Wrogowie wasi otrzymali zapłatę podług zasług. Bóg Wszechmocny stanął w obronie waszej i waszego ludu.— „Dominus quasi vir pugnator, currus Pharaonis et exercitum ejus in mare projecit“ [2]).

Słońce miało się ku zachodowi i wracający ze swemi chorągwiami z pola bitwy wodzowie składali królowi powinszowania z odniesionego zwycięztwa, kiedy stawiono przed nim rycerza krzyżackiego, który sam jeden, z powierzonym sobie sztandarem w ręku, pozostał na placu bitwy.

Krew broczyła mu zbroję i śmiertelna bladość na twarz zstępowała.

— Kto jesteś, waleczny rycerzu?—zapytał wielki książę Witold.

— Konrad von Zugehör—odpowiedział rycerz.

— O! na Boga!—zawołał król tknięty do żywego.—Zawołajcie lekarzy! Sowita nagroda temu i nasze królewskie podziękowanie temu, kto go ocali!

— Daremnie, najjaśniejszy i miłościwy królu! Żadna pomoc ziemska nie wybawi mnie od śmierci.

Na cóżbym nawet miał przeżyć zgubę zakonu i chwalebny zgon mojego przełożonego, którego czciłem, jak ojca.

— A któż był twoim przełożonym?

— Albrecht hrabia Wende.

— Cześć jego pamięci!—rzekł Witold.—Był to rycerz i zakonnik bez zarzutu!

Konrad, w którego wzroku tliła się jeszcze ostatnia iskierka wojennego zapału i wątek życia w nim utrzymywała, pochylił głowę — i nastąpiła chwila uroczystego milczenia. Dwaj rycerze polscy, widząc go blizkim upadku, ujęli go pod ramiona: a ksiądz Mikołaj, podkanclerzy koronny, zdjąwszy z szyi krzyż, zbliżył się do niego ze słowem pociechy religijnej na ustach. Ale umierający przemówił znowu do króla:

— Nawet nieprzyjaciele wasi Najjaśniejszy Panie, wiedzą o waszem chrześcijańskiem miłosierdziu. Bądźcie wspaniałomyślnym, dla naszych braci, którzy są w waszej mocy. Lecz jeszcze, ostatnia prośba:—Pozwólcie mi raz jeszcze ujrzeć i uścisnąć moję chorągiew! Byłem jej wiernym, do grobu.

W całym obozie, prócz straży, sam tylko wielki książę Witold czuwał po północy, kiedy marszałek litewski Rumbowd wszedł do jego namiotu:

— Najjaśniejszy książę, panie mój miłościwy! Rycerz Długosz Wieniawita oddał mi trzech jeńców, których w czasie ucieczki ich z bitwy ujął pod Wilgowem.

— A ich nazwiska?

— Sonnenberg, Schwelborn i Salzbach.

— Waleczny i słowny rycerz!

— Co wasza wielko-książęca mość uczynić z nimi rozkaże?

— Wyprowadzić ich za obóz i oddać w ręce kata. Niechaj ich głowy wbite na pal oznajmią rycerstwu, że dosięgła ich kara należna pospolitym złoczyńcom!

Po odebraniu wieści o zgonie Konrada Zugehör, hrabina Klara von Ebersfeld wstąpiła do klasztoru i wkrótce tam umarła.

W KSIĄŻCE I W ŻYCIU.

Niedawno wpadła mi w rękę książka francuzka, powiastka, która, choć napisana dobrze, nudziła mnie, bo wydawała się bajką moralną, pisaną szablonowo dla zbudowania młodych panien. Powiastka ta, nowelka, jak stało się dziś zwyczajem mówić zcudzoziemska, miała jednak bardzo piękny tytuł: „Simple et vaillante“ i treść wzruszającą. Młode dziewczę, którego matka pochodziła z karmazynowej rodziny szlacheckiej, a ojciec był inżynierem, staje się nagle sierotą po tym ojcu, który umarł niespodziewanie, zostawiając wdowę i pięcioro dzieci niemal w biedzie, bo utrzymanie rodziny polegało głównie na jego pracy, a procent od niewielkiego posagu żony mało co przytem znaczył. Rodzice biednej wdowy żyli jeszcze, zamieszkiwali posiadłość swą ziemską i chcieli też zaraz przygarnąć ją wraz z dziećmi, wziąć na wieś do siebie, lecz reszta rodzeństwa patrzyła na to krzywo, bo wydatki łożone w ten sposób na jednę córkę i wnuki po niej, uszczuplałyby dochody rodziców, więc ujmowały coś z tego, co prawnie należało do wszystkich. To wyrachowane, a dość liczne rodzeństwo składało się z sióstr nie rodzonych, lecz przyrodnich tylko, co zaostrzało położenie i wdowa, odczuwająca to, odrzuciła ofiarę rodziców. Że przytem trzech jej synków już chodziło do szkół, w razie jej zamieszkania na wsi trzebaby było umieścić ich na stancyi — na stancyi zawsze lichej, gdy musi być tanią, postanowiła odważnie nierozdzielać się z dziećmi i przy pomocy najstarszej, a prawie już dorosłej, bo piętnastoletniej córki Madzi, pracować, zabiegać oszczędnie i nie trzymając wcale sługi, żyć jak Bóg da a szczupły dochodzik pozwoli. Nieszczęście trafiło ją przecież w czasie wakacyjnym, gdy całe jej rodzeństwo, bo i zamężne siostry z pierwszego małżeństwa jej ojca znajdowały się tak, jak i ona z dziećmi u rodziców, że zaś wszystkie te panie były bogate, a ich dzieci wychowane w wygodach, więc mimo całego zadowolenia z obrotu, jaki wzięła sprawa, rozpoczął się naraz sejm: jak biedna kobieta da sobie radę? Rozprawiano o tem ustawicznie, kręcąc głowami i zabijając nadzieję w piersiach nieszczęśliwej matki, aż zmęczona zasłabła i usunęła się na dni parę z grona tej dobrej rodziny do sypialnego pokoju na górze, lecz wtedy poczęto rozprawiać jeszcze obszerniej, szczegółowiej, niedelikatniej wobec dziewczęcia, zrozpaczonego przez śmierć ojca, któremu rozdzierano serce w piersiach i obrażano dumę, przez wyrazy niewczesnej litości. Więc główka udręczonej zaczęła pałać, myśli zaczęły się w niej plątać, pragnienie zrazu nieokreślone, potem wzmagające się coraz i rysujące wyraźniej, zaczęło się odzywać przez jeden, jedyny wyraz, znaczący niemal tyle, co życie: praca! — Chcę pracować, muszę pracować, muszę zarobić coś dla wspomożenia matki i rodzeństwa — wołała z rozpaczą sierota i przyszła jej myśl, że jednak tyle dziewcząt w jej wieku ima się już igły, aby z niej żyć, aby nią zarabiać, w końcu postanowiła uczynić to i ona. Ojciec jej był człowiekiem rozumnym i przewidującym, choć jeszcze tak młody, że śmierć była wypadkiem niespodziewanym, jednak nie liczący na to, aby dzieciom mógł zostawić majątek, dawał praktycznie rozsądny kierunek ich wychowaniu i Madzia, mimo to, że należała przez stosunki rodzinne i stanowisko ojca do sfer społeczeństwa wyższych, uczyła się robić suknie, i nawet raz, właśnie przed samą nieszczęśliwą katastrofą, zrobiła sobie sama ubiór, niespodziewanie jej potrzebny na balik, przez babcię wnukom wyprawiony. Choć wtedy już jedna z jej ciotek, kochających ją niby bardzo, wstydziła się tego prawie i wolała trzymać rzecz w tajemnicy nawet przed swoją panną służącą, sierota nie cofa się i śmiało ogłasza swoje postanowienie, zyskuje pozwolenie matki i za powrotem z zamku Boisjolly do Paryża, w nowem małem mieszkanku matki zakłada szwalnią ubiorów dziecinnych, zrazu na bardzo skromną skalę, ograniczając swoją pracownię do jednego saloniku i jednej pomocnicy. Że przecież ma dobry gust i jest pracowitą, że nie uważa sobie tego co robi za ujmę i poniżenie, więc nieprzygnieciona uczuciem fałszywego wstydu i nieszczęścia, wkłada w przedsięwzięcie swoje całą młodą energią i nie tracąc nigdy, a zyskując coraz, coraz więcej, zakład swój zwolna rozwija, zarabia tyle, że w domu niéma nigdy biedy, niéma tego ciężkiego życia braków i walki z niedostatkiem, jakie przypuszczać było trzeba. Więc Madzia, ładna, miła Madzia, którą za dobrych tych czasów, gdy nie była jeszcze sierotą, nazywano w arystokratycznym salonie zamku Boisjolly: „Belle de Nuit“, czuje się szczęśliwą i ma serce pełne radości, pełne zadowolenia słodkiego, choć rodzina jej matki ledwo że zachowuje z nią stosunki i to prawie ukradkiem, prawie skrycie i w tajemnicy przed światem, którego się wstydzi za położenie sieroty. Wprawdzie są chwile takie, w których tę sierotę napadają żale i tęsknoty, czasem budzi się w niej coś, jak gorycz i niechęć do ludzi, ale są to przemijające chmury na niebie jej młodego życia, i wkrótce szczęśliwy koniec wieńczy poczciwe dzieło. Madzia idzie za mąż: jeden z młodych sąsiadów zamku Boisjolly, dawny i dobry znajomy jej matki, człowiek bardzo szlachetny i rozumny, najpierw uczuwa dla niej wielki szacunek, potem widząc ją zawsze „Prostą i dzielną“ — miłość, i żeni się, zostaje opiekunem wdowy i reszty sierot, które szlachetna duma i energiczna natura starszej siostry ocaliła od okrutnego losu, zowiącego się: *na łasce!*

Przeczytawszy tę książkę, tak pięknie, tak dobrze zakończoną weselem, szczęściem, miłością, odsunęłam ją na bok ze smutkiem, z niechęcią prawie. — Gdyby to tak było w życiu, — rzekłam markotnie, —gdyby to tak gładko, pięknie, poetycznie usuwały się z drogi życia przeszkody i rozumne usiłowania, szlachetne chęci osiągały pożądany skutek....

Miałam pewne prawo do tych słów gorzkich, bo widziałam już całe setki młodych dziewcząt, tak przybywających do Warszawy, jak owa francuzka Madzia do Paryża, ze stałem, odważnem postanowieniem uczciwej pracy na chleb swój i rodziny, i widziałam potem, jak wiodły i wiodą dotąd istnienie smutne, ciężkie, niepodniesione po

---

1) Plauen obrany został zaraz po bitwie mistrzem.

2) Pan, jakoby mąż walczący, wozy Faraona i jego wojska pogrążył w morskich toniach.

nad braki, a ilu trudnościami, przykrościami obciążone! — Gdyby to tak było w życiu! — dodałam, wspominając sobie te szeregi biedaczek, znanych mi bliżej i dalej, szukających u mnie rady, wskazówki, których już nieraz sumiennie dać nie śmiem.

— Bywa tak i w życiu,—odpowiedział mi prawie w tejsamej chwili głos znany kiedyś, a potem zapomniany prawie zupełnie po niesłyszeniu go długiem lat przeszło dwunastu. Przed temi dwunastu laty poznałam młodą pannę, pochodzącą z Lubelskiego, tak dobrze wychowaną jak tamta Madzia z książki, która tak, jak tamta była sierotą bez ojca i miała też matkę owdowiałą, nieszczęśliwą, potrzebującą wsparcia i pomocy. Córka postanowiła dać ją matce, torując przytem samodzielnie drogę własnego życia. „Prosta i dzielna“ obrała sobie do tego środek, aż dotąd najprzystępniejszy dla pracy kobiecej, gdy pracy tej nie podpiera szczęśliwie jakiś talent szczególny, gdy praca ta nie ma kapitałów do ryzykowania — gdy pracująca musi liczyć w całości na siebie i swoje dziesięć palców. Więc sierota przybyła samotnie do Warszawy, aby się uczyć kroju i strojów, strawiła na tej nauce lat parę, nie wiem dokładnie liczby, mając przed sobą próby owiele cięższe niż wyżej wspomniana Francuzka, bo była samotna wśród wielkiego świata i trzeba jej było obok pracy szukać sobie uchrony między ludźmi, odpowiednich jej choć w części nawyknień, co jest rzeczą niełatwą, a nawet trudną bardzo, bo któż przytula w domu swoim takie samotne pracownice? Zwykle są to ludzie ubodzy, ścieśniający się i czyniący rzecz dla jakiegoś grosika, prawie zawsze ludzie klas pracujących i niższych. Tu przecież Bóg dał znaleźć szczęśliwie: rodzina dobra ludzi strąconych z wyższego w świecie położenia, otworzyła swoje ognisko domowe tej odważnej, a ułatwiło się jej życie co do bardzo ważnego warunku. Było to w domu, w którym i ja mieszkałam, więc przyszło do poznania i życzliwego stosunku. Młoda panna już przebywała wtedy drugą fazę próby swojej: już wyuczona, była starszą panną w poblizkim magazynie i teraz potrzebowała tylko zebrać zapas na wprowadzenie w czyn rozumnej swej myśli: chciała wrócić w swoje strony, połączyć się z matką starą, stworzyć jej i sobie dom własny.

Rozsądek praktyczny towarzyszył tu tkliwości serca; on to ostrzegał, że w Warszawie przedsięwzięcie podobne bez środków większych, niż zebrać je byłoby można przed upłynięciem najpiękniejszych lat młodości, przed utraceniem tej energii i siły, jaką młodość daje — byłoby mrzonką złudną, której dało się zgubnie uwieść ofiar tysiące. A może w dodatku serce ciągnęło w swój kąt rodzinny, gdzie wszystko jest człowiekowi znane, więc miłe i aż drogie, jak dni dawnych wspomnienie; gdzie powietrze nawet daje piersi oddech lżejszy niżeli w mieście wielkiem, gdzie jednostka samotna jest jak w lesie a konkurrencya w pracy pracę tę utrudnia, i pcha niejednego aby nie zważał, „Czy na drodze jego jest błoto, kamień, czy serce bliźniego“. Lecz na szczęście powrót w swoje strony był tu postanowiony stanowczo i tylko trzeba było zarobić, najpierw na maszynę do szycia, potem na jakie takie osiedliny.

Wiem, jak też oszczędzano, jak obliczano nawet każdy kęs dodany, lub ujęty śniadaniu, dzielącemu poranek, rozpoczęty pracą wczesną, od późno, późno spożywanego obiadu. A jednak była to młodość kształtna, zdrowa i silna, której byłoby potrzeba odpowiednich życia warunków: ruchu, powietrza, a może i trochę ludzi i ludzkiego gwaru, pełniejszego zachwycenia w piersi tego, co można nazwać życiem samem. Jako illustracyą, dodać tu też muszę szczegół jeden: — Młoda pracownica lubiła, lubiła niezmiernie teatr; wszystko, co było rozrywką towarzyską w sferze jej nawyknień, usunęło się i teatr byłby mógł cośkolwiek z tego zwrócić, coś przypominać i zastąpić, dać wreszcie pewne zadowolenie tym potrzebom ducha, tym zamiłowaniom estetycznem, dla których sztuka istnieje wpośród społeczeństw cywilizowanych: otóż Madzia polska czytywała afisze każdej nowej sztuki....

Czytywała gorliwie, uparcie, sama śmiejąc się i żartując z siebie, powiadając z uśmiechem, że ją coś ciągnie jak urok rzucony, lecz pomimo to wszystko, woreczek pozostawał zamknięty na kluczyk silnej woli, mocnego postanowienia i żaden grosz nie został odwróconym od celu.

Aż nakoniec dopełniła się zbierana sumka. Maszyna, opakowana jak skarb drogocenny, pojechała z panią swoją, a ja straciwszy z oczu, straciłam trochę i z pamięci ten cichy i wzruszający dramat, odważnie prowadzonej walki z życiem i czytając temi dniami powiastkę p: Aymée Cécyl: „Simple et vaillante“, uczułam się wskutek smutnego doświadczenia, jakie mi ukazywało życie, rozżaloną, rozdrażnioną, gdy oto rzeczywistość przyszła nagle nie dla zadania kłamu fikcyi, ale dla udowodnienia mi na żywe oczy, że jednak może się stać tosamo w życia tego praktyce, co w książce przedstawiać się zdaje jako obrazek idealny. Owa znajoma dawna, czując, że zrobi mi tem wielką przyjemność, wielką dla serca mego uciechę, zakołatała do drzwi moich, aby mi powiedzieć radośnie: —Dopięłam celu!....

Dopięła celu, bo ma swój dom, ciepłe ognisko domowe, gdzie nietylko jest z nią matka ukochana, ale gdzie przy szczęśliwie osiągniętem powodzeniu znalazło się miejsce i dla ciotki starej. Ma to wszystko zbudowane pracą własną, i ma już nawet swej starości zapewnienie, ma kapitalik blizko trzydzieści tysięcy złotych wynoszący.

Pokobiecemu lękliwa, bo wiedząca, jak kobieta może być łatwo zrabowaną przez złych ludzi, ten swój majątek, wyobrażający przystań spokojną po trudach życia, chowa w listach zastawnych, zadawalając się procencikiem małym, ale za to pewnym.

Opowiadała mi to wszystko z miłym, wesołym uśmiechem, pod którym krył się jednak wyraz wewnętrznego tryumfu i tej dumy godziwej, do której ma zawsze prawo każda praca uczciwa, powodzeniem uwieńczona. Potrąciłyśmy przytem trochę i o to zagadnienie ważne: czy przeniesieniu warsztatu pracy do miasta powiatowego nie zawdzięcza się tu w części tego, co znajoma moja szczęściem swojem nazywa? Do Warszawy należy niewątpliwie przybywać po naukę, po uzyskanie sobie dobrych środków zarobkowania, ale pracy, prowadzonej na stopę skromną, trudniej tu jest, trudniej wiele, wybić się na wierzch i zapewnić sobie pomyślniejsze bytu warunki. Decentralizacya pracy kobiecej, rozwijanie się jej po miastach małych, po wsiach nawet—to, w przekonaniu mojem, grunt pod nią najpewniejszy, ale przedmiot to za poważny, kwestya zbyt żywotna, aby ją tak przypadkowo i pobocznie rozbierać, i to, co tu piszę, to tylko jakgdyby nowina dobra, wiadomość przyjemna o zdarzeniu miłem, podana kółku kobiet pracujących, i kółku tych, co się interessem serdecznym, braterskim, siostrzanym, z temi pracującemi wiążą. Jest zawsze cośkolwiek wartem i to, co ucieszy, co wesołego humoru doda, tu trochę ducha podniesie, tam szczęśliwą jaką myśl obudzić może. Statystyce życia tak należy zapisywać fakta, które są pomyślnością, jak fakta, które są upadkiem, zatratą nadziei. W tych się kryje przestroga, z tamtych występuje ukrzepienie, potrzebne nam na czarne lub szare godziny życia.

M. I.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 20 Października 1882 r.

Ubóztwo literackie.— Społeczność dzisiejsza i literatura.—Jak cię widzą, tak cię piszą. — P. Barbey d'Aurevilly.— Człowiek i pisarz; jeden rys z jego życia: przedstawienie „Lukrecyi Borgii" w 1869 r.— *Niesłychana historya*, nowa powieść p. Barbey'a.— Teatr i nowa sztuka p. Becque'a: *Kruki*.—Pierwsze przedstawienie i krytyka literacka.—Upadek; jaki jest prawdziwy powód niechęci dla autora i dla dzieła? — Dramat ludowy: *Pani Teresa*— Erckmanna i Chatriana. — Niepowodzenie, dla jakich przyczyn.

Ubóztwo literackie coraz dotkliwiej czuć się daje we Francyi. Jeszcze w sferach naukowych kierunek nadany dawniej, utrzymuje i zażywia literaturę specyalną; ale w belletrystyce nowa dyrekcya nadana oświeceniu i wychowaniu, najsmutniejsze wydaje plony. Z upadkiem moralnego wykształcenia, psuje się i upada język; zepsuty smak, niedostatek silnej powagi, wątpliwe zasady domowych, rodzinnych stosunków—bez pocisków i grubiaństw—zastępują dawniejszy polor i odbijają się smutnie w tem źwierciedle społeczności, które stanowi literatura nadobna; aby zdać sobie dostateczną sprawę z tego stanu rzeczy, potrzeba czytać to wszystko, cokolwiek dzień każdy przynosi tu na rynek umysłowej produkcyi. Dla tych, którzy się ograniczają do pewnego wyboru dzieł i pisarzów, którzy się żywią jedynie śmietanką księgarską, stan ten nie zdaje się wcale, ani tak smutnym, ani tak wstrętnym. Ale zastanowiwszy się chwilę i objąwszy całość literackiego ruchu, przekonamy się łatwo, że kilku znakomitszych pisarzów, należących zresztą do przeszłości, wcale nie wywiera już ani dyrekcyi, ani wpływu; że cała przyszłość jest w ręku *nowych pokładów*, nowej generacyi, która, wypadłszy z kolei, niby przestarzałych, formuł i sposobów pisarskich, zastępuje je tym rodzajem pieprznego bigosu, który jest tem w literaturze, czem jest w stroju i w towarzyskiem obchodzeniu się dzisiejsza paryzka młodzież. Egzageracya, brak smaku, dziwactwo i głupota—oto są wybitne i kardynalne oznaki dzisiejszej epoki. Została nam podobna tradycya z wielkiej rewolucyi francuzkiej przeszłego wieku; do dziś dnia uderza nas ona jeszcze, jako dziwoląg i karykatura. Dodać należy, że niéma na świecie narodu, gdzieby ogół towarzyski był tak pochopny i zdolny wystąpić w najśmieszniejszej postaci, byleby to było nowością i modą.

Dawniej moda i wszystko, cokolwiek w życiu było wyjątkiem i zbytkiem, było też przywilejem tak zwanej arystokracyi —to jest ludzi zamożnych i możnych, których liczba była ograniczoną niezmiernie. Ale od chwili rozpowszechnienia nietylko dobrobytu, lecz bogactwa we Francyi, to jest od 1830 r.; od czasów panowania Ludwika-Filipa a szczególniej, od czasów ostatniego Cesarstwa, kiedy tak zwany dandyzm albo elegancya przeniknęła do klassy mieszczańskiej, o tysiąc razy liczniejszej od arystokracyi i niepowstrzymanej żadnym względem, który krępował jeszcze i trzymał na wodzy tamtą; kiedy rozmyślne próżniactwo i swawola, z gorącą żądzą użycia i nadużycia wszelkiego, bez żadnego przymusu, bez wysiłku, bez żadnej powinności i względu, na kogobądź, lub nacobądź, ogarnęło mieszczańską młodzież, ta choroba, trapiąca dotąd, pewną, wyłączną cząstkę społeczności, stała się straszliwą epidemią i okropne dziś, ogólne wywiera wokoło zniszczenie. Skutki tej okropnej zarazy każdy z nas spostrzega i sprawdzić może codziennie w rodzinach znajomych mu osób.

Orygo tej plagi, leży w tem gwałtownem zmieszaniu się i stopieniu, że tak powiem, rozmaitych klas społeczności, w tym piekielnym przedsionku, który się zowie Paryżem. W towarzystwie tak uorganizowanem, jak tutejsze, gdzie nikt nie jest na swojem właściwem miejscu; nie potrzeba się dziwić wcale, że syn mieszczański porzucił też swoje miejsce i za pomocą, silnych, rodzinnych, tradycyonalnych w tej klassie łokci, wysunął się nasamprzód i rozwala się dzisiaj, na czele wszystkich, *Coram populo!*—że przedrzeźnia i małpuje, owych arystokratycznych próżniaków z urodzenia, dla tej jedynie przyjemności, aby go brano za jednego z ich koleżków i braci!

Dla tak urządzonej społeczności potrzeba było odpowiednich sposobów, zabawy, rozrywki i zajęcia. Literatura musiała znaleźć przedstawicieli godnych takiej publiczności. Ten tłum bezczynny i bezwiedny, którego zaspane pojęcie, łechta i drażni, takie pióro, jak p. Zoli, takie powieści, jak p. Bouviera, który się rozpływa przed romansami Cherbulieza albo pani Gréville, który się zachwyca krytyką Sarcey'a—ten tłum ma racyą—i książki zacne, poczciwe i proste, proste zasadą i uczuciem, to książki nie dla nich. Ten kto się unosi i zachwyca, trzysta sześćdziesiąt pięć razy na rok, przed głupotą, błazeństwem i próżnością, które się codziennie mizdrzą na wystawie księgarskich sklepów, nie może raptem upaść na kolana—przed pięknem i prawdą, w skromnej i prostej odzieży—bez widomego cudu Boskiego!

Mamy dziś nowy przykład tego, do jakiego sto-

pnia literatura, uczuwa bardziej, aniżeli wywiera wpływ na społeczność, wśród której się rozwija. Jest tu pisarz nazwiskiem Barbey-d'Aurevilly. Dziennikarz i powieściopisarz nie bez talentu, stylista *sui generis* bardzo znakomity—p. Barbey znany jest bardziej przecież na bruku paryzkim z pewnego dziwactwa swego ubioru (według mody 1830 r.), ze swej affektacyi dandyzmu z tejże epoki, niż z piękności dzieł swoich. Jest to żyjący egzemplarz romantycznych pisarzów z owego czasu, rodził się bowiem w 1811 roku, szczególną przytem nadaje mu cechę ogromny wzrost, koścista postać, brzydka twarz, zawadyacka mina i pretensya do piękności, do szykowności i do młodości; umalowany jest bowiem całkiem, i ostatki czupryny i wąsów strzępi i dzisiaj, jak temu lat pięćdziesiąt.

Oryginał ten przecież pod względem stylu, szczególnie w artykułach dziennikarskiej krytyki, jest pisarzem niepospolitego talentu i szczególnej cierpkości, która się tłómaczy jędrnem i ostrem słowem w powieściach (napisał ich niemało, z których bardziej znajome są: *Le Chevalier des Touches*; *La vieille Maîtresse*; *l'Encorcelé*; *les Diaboliques*, *Brummel* i t. d.) P. Barbey zachował wszystkie tradycye szkoły romantycznej z pierwszych lat jej wystąpienia w literaturze francuzkiej.

Ale nim powiem słów kilka o jego ostatniej powieści „Niesłychana historya“ (Une histoire sans nom), przytoczę tu wypadek tyczący się tego oryginała, wypadek, którego sam byłem świadkiem, a który doskonale maluje człowieka i pisarza. W 1869 r. cesarz Napoleon na usilne prośby blizkich mu osób, i czyniąc zadość domaganiom się prassy liberalnej, zezwolił na przedstawienie w Teatrze Francuzkim *Lukrecyi Borgii* V. Hugo'a. Pamiętam jak dziś, co to był za ruch, jakie to były zabiegi, aby dostać miejsce na tę reprezentacyą, o której naprzód opowiadano najdziwniejsze rzeczy. Dzięki p. Walewskiej znalazłem miejsce w jej loży i przyznaję się, że z niezmierną ciekawością poszedłem posłuchać i zobaczyć sztukę, o której niegdyś u nas — tyle słyszałem!

Pamiętam jak dziś, w teatrze było pełno jak w jajku. Wszystko, cokolwiek miało styczność z piśmiennictwem, zdaleka lub zblizka, zapełniało parter i loże. Stronnictwo republikańskie odznaczało się i liczbą i wyborem swych przedstawicieli. Nakoniec kortyna się podniosła. Ale cóż powiem? wrażenie, jakiego doznałem, daleko stało niżej od owego, które mi zostało w duszy z czytanej niegdyś Lukrecyi, długie ustępy, monologi, opowiadania, zdały się jakąś cuchnąć starzyzną, aktorowie przytem widocznie nie umieli dobrze swych ról. Pani Laurent'owa, która grała rolę Lukrecyi, mieszała się, jąkała cochwila, odpowiadała nie w porę, albo zmieniając odpowiedź textu. Przecież liberalni i republikanie nie szczędzili rzęsistych oklasków, jakby najęci. Aż nagle, wśród jednej z najpatetyczniejszych scen dramatu, daje się słyszeć ostre, przeciągłe gwizdnienie! Jakby uraganem poruszona, publiczność powstała z miejsc nagle. Wszystkich oczy zaiskrzone szukają, to z gniewem, to z ciekawością winowajcy tej obelgi. Wtem drugi i silniejszy świst rozlega się w sali.

— Precz za drzwi! — woła p. Lockroy, redaktor wówczas „Rappelu“, a dziś poseł z Paryża w Izbie. I cała prawie sala powtarza *„za drzwi!“* Pamiętam, że i ja krzyczałem, jak drudzy, aż mię pani Walewska zreflektowała łaskawie.

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Pamiętnik fizyograficzny; wydali: Eugeniusz Dziewulski i Bronisław Znatowicz.— Warszawa, 1882 r.; tablice i mapy (str. 521, 8-o max.).

Grono młodych, a dzielnych przyrodników naszych powzięło piękny zamiar odbywania gruntowych studyów nad krajem naszym i podawania ich opisów w peryodycznie wychodzącem dziele, które nazwano *Pamiętnikiem fizyograficznym*. Jako główni pracownicy na tem polu i inicyatorowie całej sprawy, wymienieni są znani zaszczytnie w literaturze naszej przyrodniczej: Eugeniusz Dziewulski i Bronisław Znatowicz. Drugi już tom tego cennego dzieła mamy przed sobą. Podzielony on jest na cztery główne działy: I) Meteorologia i Hydrografia; II) Geologia i Chemia; III) Botanika i Zoologia; IV) Antropologia.

Rozdział I rozpoczyna się pracą Dra Jana Kowalczyka, „O spostrzeżeniach meteorologicznych w Warszawie“, będącą dalszym ciągiem takiej-że pracy, ogłoszonej przez tegoż autora w I tomie *Pamiętnika fizyograficznego*. Znajdujemy tu liczby przedstawiające stan barometru w każdym dniu roku, będące owocem długoletnich obserwacyj. Na tablicy pierwszej liczby te są w sposób bardzo zrozumiały, graficznie przedstawione.

Apol. Pietkiewicz, opracował rzecz „O zmienności temperatury rocznej w Warszawie“, w której podaje rezultat obserwacyi temperatury w ostatnich 55-ciu latach i dochodzi ztąd do wniosku, iż tak rozległego pola odmian jak Warszawa, nie przedstawia klimat Zachodniej Europy, ani krajów na Wschodzie, w głębi lądu położonych. Ciepłota tych samych miesięcy w latach rozmaitych— powiada autor — wahając się w tak znacznych granicach, stanowi często o losie rolnika, który niepomyślność zbiorów kładzie najczęściej na karb pogorszenia się klimatu. Rzeczywiście, zmienność wielka naszego klimatu, tłómaczy nam dostatecznie, bardziej u nas niż gdzieindziej rozpowszechnione utyskiwanie, lecz myliłby się bardzo ten, ktoby w czasowo pogorszających się stosunkach klimatycznych, nie widział zadatku lepszej przyszłości, a upatrywał w zmienności kierunek postępowy, zmierzający wciąż ku oziębieniu. Wahanie się temperatury odbywa się między pewnemi krańcowościami, a tosamo dowodzi stałości tych odmian, które i dawniej istniały i pozostaną w przyszłości.

Eugeniusz Dziewulski napisał do tego dzieła dwa zajmujące artykuły: „O nachyleniach magnetycznych w Warszawie“, oraz „Opis Czarnego Stawu Gąsienicowego pod Kościelcem“. Autor zdjął na miejscu dokładny plan tego stawu, zmierzył jego obszar, głębokość, rodzaj brzegów dna i t. d. Długość tego pięknego jeziora wynosi 600 m. a szerokość jest rozmaitą od 100 do 400 m. Widzimy z tego, iż wielkość stawu jest imponująca. Największa głębokość wynosi 47 m. W jednym końcu stawu znajduje się wysepka długości 30 m., mająca kształt „8“. Temperatura wody na powierzchni wynosi 11° C. a na dnie ledwo 5° C.

Jan Rostworowski podaje nam opis wraz z mappą jezior Łęczyńsko-Włodawskich. Jezior tych w pasmie ciągnącem się od Wieprza do Buga, od Łęczny do Włodawy naliczono niemniej niż 60 i to na przestrzeni ledwo 7 mil. Większość tych stawów jest zupełnie zarosła i stanowi raczej trzęsawiska. Jak ogromną przestrzeń zajmują one, przekonywamy się z podanych liczb, iż dawny powiat Radzyński miał 24,018 włók, a z tych 10,772 włók pod wodą. Gdy wspomnimy iż przestrzenie te są zupełnie bezużyteczne, gdyż rybołówstwo gdzieniegdzie tylko pewien nie wielki dochód daje, przekonamy się, jak ważnem jest zwrócenie uwagi na owe stawy i na możliwość ich osuszenia. Słusznie autor twierdzi, iż „osuszenie tak znacznych przestrzeni mogłoby niezmiernie powiększyć bogactwo okolicy, lecz musi ono być prowadzone wspólnemi siłami, lub przynajmniej za wspólnemi interessowanych porozumieniem, tak, aby właściciele gruntów wyżej położonych, korzystać mogli z robót dokonanych przez niższych sąsiadów, oraz aby przez cudze grunta prowadzić mogli kanały, choćby one nie były dla obu stron korzystnemi“.

Dział drugi rozpoczyna się pracą „O naszych głazach narzutowych“, napisaną przez p. Józefa Siemiradzkiego, assystenta *przy* (?) Uniwersytecie Dorpackim. Według zdania autora, w Niemczech i w Anglii znajdujemy wyłącznie głazy skandynawskiego pochodzenia, w Rossyi finlandzkiego, pas zaś graniczny, w którym zarówno jedne jak i drugie znajdujemy, obejmuje: Kurlandyą, Żmujdź, Litwę do Mińska, Wołyń, Kongressówkę, Galicyą, Szląsk i Prussy wschodnie. Co do rodzaju skał napotykanych u nas w postaci głazów narzutowych, absolutną przewagę mają granity i gnejsy, chociaż i dyoryty, porfiry i t. d. się napotykają. Ponieważ głazy ogromnej objętości, po kilka tysięcy centnarów ważące, nie mogły być wodą na takiej ogromnej przestrzeni przeniesione, więc poszukiwano silniejszej dźwigni: lodu, pierwotnie w postaci pływających gór, wreszcie lodowców. Następuje szczegółowy opis granitów, łupków mikowych, porfirów kwarcowych, mikowych dyabazów i t. p.

Bardzo zajmującą jest następna praca, p. Wincentego Kosińskiego, „O kopalniach Olkuskich, ich przeszłości i przyszłości“. Bogactwo kopalń Olkuskich jest ogromne, gdyż rozciągają się ona na 4 wiorstach kwadratowych, a pokład kruszcu ma średnio 2 stopy grubości, jak to swojego czasu jeszcze sławny geolog Pusch dowodził. Cynk, ołów a nawet srebro z kopalń Olkuskich wydobywano, a oceniano te bogactwa jeszcze w XIV wieku, w którym prawdopodobnie zostały otwarte kopalnie kruszcu ołowianego. W późniejszych czasach wykuto duże i długie sztolnie, które świadczą o wielkiej wytrwałości naszych przodków, gdy wspomnimy, iż nie używano w owych czasach prochu do rozsadzania skał, lecz ręką, dłutem i młotem robotę tę wykonywano. Autor opisuje rozmaite koleje, jakie od najdawniejszych czasów kopalnie Olkuskie przechodziły. Historya osuszania kopalni jest nadzwyczaj interessującą i charakterystyczną; nareszcie dowiadujemy się, iż obecnie na ten cel wyznaczoną została przez rząd summa 68,000 rub. sr. i że roboty od roku zeszłego energicznie się prowadzą. Autor słusznie przypisuje wielką ważność tym robotom i zwraca uwagę na ogromną korzyść, jaka ztąd spadnie na tę najuboższą dziś okolicę kraju naszego.

Z rękopismu pozostałego po Puschu, b. radcy górniczym i bardzo znakomitym geologu (żył on w pierwszej połowie bieżącego wieku); p. Bronisław Rejchman przełożył „Nowe przyczynki do geognozyi Polski“. Rzecz bardzo ważna i interessująca ale zbyt specyalna, żebyśmy ją tu mogli przedstawić. Do pracy tej załączona jest mapa geologiczna Gubernii Kieleckiej, wykonana przez Kątkiewicza.

Następują rozbiory chemiczne Soli Buskiej, przez B. Pawlewskiego i pięciu Skał Tatrzańskich przez B. Znatowicza.

W dziale botanicznym spotykamy obszerny, bo 127 stronnic zawierający opis Porosty Tatrzańskich, przez professora Chałubińskiego, podany w języku łacińskim.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg).

Po wrzawie, jaka zapanowała przy wychylaniu tego olbrzymiego toastu, gdy znów rozpoczęto podobne szumno-brzmiące przemówienia, Saint-Cyr przerwał zapał mówcy wesołem zagadnieniem:

— Jakto, panowie, zapominacie o płci pięknej! Niezbyt to uprzejmie z waszej strony.

— A gdzież ją masz tę twoję płeć piękną, Sylwku drogi? — zapytano ze wszystkich stron. Może ty nam w tajemnicy przygotowujesz jakąś niespodziankę? Może w głębi okrętu masz ukryte jakie pół tuzina nimf lub syren, ułowionych podczas twych samotnych na czółnie wycieczek?

— Niestety, towarzysze, nie mogę wam ukazać ani cienia nawet sukienki; nie mogą wam chociażby kucharki przedstawić, bo tu na okręcie ku-

charki zastępuje płeć męzka, ale to żadna racya, aby zapominać o paniach.

— Zdrowie pań! — odpowiedzieli ci z biesiadników, którzy byli jeszcze zdolni podnieść kieliszek do ust.

— Ale, kiedy mowa o paniach, rzekł Davis, jedyny zpośród Amerykanów, który zachował spokój i przytomość, co tydzień w Poniedziałki dajemy u siebie na okręcie przyjęcia, zwane u was we Francyi tańcującemi podwieczorkami; wywzajemniając się w ten sposób towarzystwu amerykańskiemu w Yokohamie, za gościnną i serdeczną względem nas uprzejmość. Czy zechcecie panowie przyjąć łaskawie zaproszenie na następny Poniedziałek i przyrzec nam, iż się stawicie na nasze wezwanie w takim komplecie, jak to my uczyniliśmy? Na statku „Monroë“ serdecznie wam będą radzi, a wy zyskacie przyjemność poznania ślicznych młodych panien, z któremi będziecie mogli podtrzymywać znajomość na stałym lądzie. Przedstawiemy was pannom Honesbury; może słyszeliście już o nich, są to bowiem największe strojnisie w Yokohama; następnie innym jeszcze elegantkom, pannom Cumberlay; są to prawie Francuzki, bo wychowano je w Paryżu;pannie Johnston, czarującej blondynce, i wielu innym. Och! poznacie jeszcze istne cudo, którego byłbym zapomniał wymienić—miss Tillię Simpson.

— Któż to jest ta miss Tillia?—przerwał Harles—dwadzieścia razy od mego tutaj przybycia słyszałem wymienione jej imię w różnych okolicznościach i odnośnie do rzeczy najsprzeczniejszych; po raz pierwszy było to w klubie, a mówiono o niej w wyrazach pełnych szacunku i nawet z pewnego rodzaju uwielbieniem.

— Na które najzupełniej zasługuje, — potwierdził rumieniąc się po uszy młody kadet z fregaty „Monroë“.

— Ale któż taki przed paru dniami mówił nam o niej?—ciągnął dalej Harles.—Ach! przypominam sobie, jeden z ojców missyi katolickiej.

— I cóż takiego mówił czcigodny ojciec? — zapytał na wpół wytrzeźwiony porucznik Thompson.

— Mówił, iż spotykał niekiedy w domach ludzi biednych, u łoża chorych, śliczną młodą dziewczynę, Amerykankę, dobrą, miłosierną a.... ładną jak marzenie — dodawał nawet z westchnieniem i źle skrywanym żalem: — Ach! gdyby tak jeszcze nie była protestantką....

— I to była miss Tillia?

— Tak.

— A w klubie co mówiono?

— W klubie nie wspominano wcale o cnotach chrześcijańskich pięknej Amerykanki, chwalono tylko jej zręczność w strzelaniu do celu z pistoletu, a nawet z karabinka. Łatwo sobie możecie wyobrazić, jak mnie to zaciekawiło, nadstawiłem też ucha i usłyszałem opowiadanie o niej najróżnorodniejsze fakta: naprzykład dowiedziałem się, że przeszłego roku w Szangaju, na konkursie strzelania do celu, zdobyła pierwszą nagrodę. Strzelając z karabina o 250 metrów, na dwanaście razy każdą kulę wpakowała w otwór, uczyniony przez pierwszy strzał. Ale to nic jeszcze wobec następującego wydarzenia: — Miss Tillia posiada wielkiego czarnego psa — to według reguły, albowiem każda młoda dziewczyna, nieco oryginalna, powinna mieć psa wielkiego i czarnego. Jej pies, wspaniały terre-neuve, towarzyszy jej zawsze w wycieczkach, nawet niebezpiecznych niekiedy. Ten pies, to więcej niż źwierzę ulubione, to wierny towarzysz, serdeczny przyjaciel, powiernik radości smutków swej uroczej pani. Szlachetne źwierzę, z niezrównaną cierpliwością poddaje się najfantastyczniejszym kaprysom miss Tillii: tak naprzykład, trzymając w zębach łokciową zaledwo listewkę, zakończoną celem sześć centymetrów średnicy mającym, siada pod murem, dwadzieścia kroków odległym, czekając rozkazu swego drogiego tyrana. Miss Tillia wspiera niedbale na ramieniu karabinek piękny jak cacko, mierzy kwadrans i pociąga za cyngiel, kula przebija cel w samym środku i więźnie w murze, osypując odłamkami wapna czarną, jak atłas lśniącą sierść Ralfa.

Skończywszy powyższe opowiadanie, Harles zwrócił się do Amerykanów, zapytując:

— Panowie, zechciejcie powiedzieć: czy fakta powyższe, są rzeczywiście prawdziwemi?

— Najzupełniej — odparli jednogłośnie rodacy pięknej bohaterki.

— Jednakże, zdaje mi się—wtrącił nieśmiało Sylwin—iż ta młoda panna nie daje dowodów dobrego serca, narażając z taką swobodą na śmierć biednego Ralfa.

— Och! nie oskarżaj pan serca miss Tillii—zawołał młody kadet, który już raz stanął w obronie oryginalnej panny; gdyby miss Tillia sądziła, iż może opalić chociażby jeden tylko włosek z sierści Ralfa, to bezwątpienia wolałby zdruzgotać swój karabinek i wyrzec się na wieki tego rodzaju rozrywki; lecz ona pewna swej zręczności, tak pewna, że chociażby nawet jej własna siostra lub ktokolwiekbądź inny chciał w tensam sposób dogodzić jej wybrykowi, mierzyłaby równie śmiało jak do Ralfa.

Kerpenik słuchał dotąd w milczeniu; po chwili napełnił kieliszek szampanem i wznosząc go w górę, rzekł: — Panowie! wnoszę toast na cześć miss Tilli; lecz przedtem porucznik Tompson mógłby zadowolić naszą ciekawość, udzieleniem niejakich objaśnień o swej pięknej rodaczce.

— Bardzo chętnie — odpowiedział porucznik Thompson.

VII.

Obiad w pokładzie *Skrzydlatego* (dalszy ciąg). — Rodzina Limpson. — W jaki sposób zostaje się pułkownikiem w Ameryce.— Słówko o armii angielskiej.— Karta z historyi.— Dlaczego rodzina Limpsonów zamieszkała w Japonii.—Obraz nocy.

Miss Tillia, jest dzieckiem generała Limpson, mającego drugą córkę znacznie starszą, z pierwszego małżeństwa. Jeżeli mnie zapytacie: kto to jest generał Limpson, odpowiem wam przedewszystkiem, jest to człowiek doskonały, posiadający tę tylko wadę, iż go nigdy niéma w domu.

— A pani Limpson?

— Pani Limpson jest również dobrą, jak jej mąż, ale tak jak się nie widuje nigdy jej męża, ponieważ wyszedł z domu, tak znów ona jest niewidzialną, bo zawsze chora.

— Miss Tillia jednakże bywa bardzo wiele pod opieką starszej siostry Ketty, a nawet często wychodzi sama, gdyż Ketty, poświęciwszy się missyi nawracania, niezawsze może jej towarzyszyć. Zresztą zwyczaje amerykańskie dozwalają tej swobody młodym pannom; mają one pod tym względem wolność zupełną, z której też szczerze korzystają, nie narażając się wcale na krytykę opinii publicznej, jak również—i nie nadużywając tej wolności prawie nigdy.

— Generał Limpson czynił wiele rzeczy w życiu swojem: w młodości poszukiwał złota, następnie sprzedawał bawełnę, jedwab' i herbatę, a ostatecznie był bankierem w San-Francisco, gdzie zebrał blizko milion dollarów, od których procent pozwala mu swobodnie przejeżdżać się dla przyjemności do Japonii.

— Jak naprzykład—wtrąciłem—poczciwy mieszczuch paryzki wyjeżdża do Asnierès lub Saint-Cloud.

— Najzupełniej tak samo, potwierdził Davis, śmiejąc się z porównania.

— Ale—przerwał Verdier, który przywłaszczył sobie szczególniejszy przywilej czynienia słodkokwaskowatych uwag, gdzie u licha wasz Limpson *ułowił* tytuł generała?

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Dowcip kobiet i kobiety dowcipne. Pod tym tytułem wyszła świeżo w Paryżu książka, licząca dwudzieste czwarte wydanie, a którą tak zaczyna autor, Stahl: „Kochając nie powinniśmy nigdy życzyć sobie, aby kochana przez nas kobieta była bardzo dowcipną, bo aby dowcip nie szkodził uczuciu, potrzeba mu łączyć się z wielkim rozsądkiem i doskonałą dobrocią, co zdarza się tak niezmiernie rzadko, że może należałoby uznać za pewnik, że kobieta bardzo dowcipna, jest prawie zawsze kobietą bez serca“.

„Niebezpieczeństwem kobiecego dowcipu jest to, że posiadająca go chce zaraz, jak to się dzieje ze wszystkiem, zapewniającem powodzenie, mieć go więcej, czyli zanadto. Spotkałem już niemało kobiet mających zawiele dowcipu, ale nigdy takiej, któraby mając go dość, okazywała tyle tylko, ile potrzeba“.

„Dowcip kobiet nie służy im w cichem życiu domowem, nie pomaga do trzymania się na uboczu, do usunięcia się w dal od świata. Aby roztaczać jego bogactwo, potrzeba im popisu, odpowiedniej do tego sceny. Na wzór pewnych ptaków dowcip kobiet lubi śpiewać tylko wśród zgiełku, który go wzmaga i podnieca, to też kobieta dowcipna, jest zwykle milszą w salonie, niż u ogniska domowego“.

„Kobiety dowcipne mówią zwykle zawiele, za głośno, zanadto wszędzie i do wszystkich. Każdy słuchacz jest im dobry, byle tylko był jakiś, i zdawaćby się mogło, że nie istnieją dla nich nieznajomi, mało znajomi, lekko znajomi — nie mają nic do ukrycia przed nikiem. Niedowcipne zauważyły to i naśladują. W teatrze, na koncertach, w kościele, kobiety niezdolne milczeć, to kobiety chcące się popisać dowcipem“.

„Dowcip kobiet jest pod wszelkim względem podobny do brylanta. Jest to klejnot kosztowny, klejnot świetny; ma w sobie tysiące promieni, tysiące iskier, błyszczy wszystkiemi stronami oszlifowania swego i nawet w ciemności wyda się natychmiast, byleby tylko jakie takie światełko wemknęło się przez szparkę najmniejszą. Nie może też wytrzymać w szufladzie, potrzeba mu pokazywać się i świetnieć i ta-to potrzeba tłómaczy tysiące sławnych niedorzeczności, które się wyrwały kobietom dowcipnym wszystkich czasów, poczynając od Ewy i Pandory, które — tak jedna, jak druga — nie były zgoła trusiami. Jednem jeszcze podobieństwem dowcipu kobiecego z brylantem jest to, że często, będąc fałszywym, przy świetle może do złudzenia uchodzić za prawdziwy i choć rzeczywiście nie ma on wartości wyższej niż dobrze rznięta zatyczka od karafki, migocząc się zwieźdź może jednak ludzi, którzy nie dają sobie dość czasu, aby rzecz zbadać“.

„Dowcip nie jest koniecznie potrzebnym w życiu kobiety. Jest wielka liczba takich, które z pomocą umiarkowania i tego taktu, którego często braknie kobiecie sprytnie dowcipnej, a prawie nigdy kobiecie z sercem—potrafiły nie powiedzieć i nie zrobić nigdy żadnej rzeczy nierozsądnej i być przez dobroć istotami doskonałemi, czego nie potrafi nigdy kobieta, posiadająca tylko dowcip. Kobieta mająca tylko serce, jest wstanie podołać wszystkiemu, kobieta mająca tylko dowcip, niedaleko zajedzie w tym kierunku. Bywają nawet kobiety mające tyle serca, że brak dowcipu nie daje się dostrzedz nigdy“.

„Powracając do stosunku, w jakim dowcip jest do miłości, powiem: można mieć dowcip zanim się pokocha, jest on niemal niezbędnym gdy się kochać przestało, ale przy miłości wcale potrzebnym nie jest, a nawet bywa wtedy niebezpiecznym i oznaka to prawie pewna, że się nie kocha bynajmniej. Miłość jest dlatego taką słodką, że w głębi rzeczy jest ona trochę głupkowatą; czyni nas prostymi“.

„Nie można kochać? nie podnosząc sobie do ideału osoby ukochanej, co miłość wykonywa cudownie, lecz czego nie dopuszcza dowcip ze swoim bystrym sprytem, którego zadaniem jest widzić rzeczy w świetle jasnem. Dowcip przytem to wróg uwielbienia i ekstazy, które w głębi rzeczy stanowią wyraz miłości“.

„Nie chcę bynajmniej przeczyć, aby kobiety dowcipne nie były zachwycającemi, a nawet przeciwnie, zdaniem mojem, nie można się oprzeć ich urokom; powiem tylko, że jeżeli jest trudno nie zawrócić sobie głowy kobietą dowcipną, trudniej jeszcze kochać ją stale i głęboko. Dowcip to natychmiast poufałość, bratanie się, dobre koleżeństwo, czyli stosunek zgoła nie taki, któryby doprowadzał do

stanu uczuć wiodących do małżeństwa, lub miłości pragnącej takiego połączenia nazawsze. Dowcip świeci, ale nie grzeje. Wprowadzić dowcip w miłość to jak zbożwiecić; czy przecież wyjdzie to na korzyść miłości? Stara historya Psychy nie przestała być, o ile wiem, dobrą przestrogą dla kochanków.

„Czem, biorąc na ogół, żyje miłość? Słodką tajemnicą i cichemi extazami; prawdziwie kochający, to skąpiec, kryjący swój skarb. Czem żyje dowcip? Rozgłosem i publikacyą. Dowcip, który nie wybłysnął, to fajerwerk, którego nie spalono. Niech przejdzie tydzień czasu a nabój zwietrzeje. Nie przechowuje się długo rac, petard, gwiazd pękających w milion iskier, czy słów migających, olsniewających, zadziwiających niespodziewanemi błyskawicami. Murszeje to wkrótce i przestaje być zdolnem do użytku“.

„Miłość jest silniejsza od dowcipu, ale dowcip nie podlega sile miłości, więc też chcieć połączyć dowcip z miłością, poddając jedno drugiemu, jest to pragnąć niemożliwości. Połączenie dwóch dowcipów jest równem niepodobieństwem; węzeł miłości wiążący dwie osoby w równym stosunku sprytne i dowcipne, nastręcza tesame niebezpieczeństwa, co niegdyś spotkanie dwóch augorów. Musi przyjść taka chwila, w której jedno drugiemu rozśmiałoby się w oczy.

„Ale tam-to dopiero błyszczy dowcip, tam-to jest dopiero jego pole popisowe, tam go potrzeba niezmiernie, gdzie, jak napomknęłem wyżej, obojętność następuje po miłości. Niéma na świecie smutniejszego widoku, jak rozdział dwojga ludzi, których łączyła kiedyś miłość, jeżeli na odprowadzenie się grzeczne do drzwi nie znajdą dowcipu, któryby czekał na nich w przedpokoju i tam też zaczyna się tryumf kobiety dowcipnej nad kobietą niedowcipną. Dokonać odwrotu w należytym porządku, jeżeli to ona przegrała bitwę, ocalić swój sztandar, to jest pozory, dobrą miną pokrywać udręczenie serdeczne — oto jej sztuka! Dowcip jej nie zdoła rozdmuchać ognia, który zagasa, ale umie ładnie zagrzebać ognisko, a jeżeli pod popiołem, jeszcze nieco ciepłem, znajdzie iskrę jaką, a przyjdzie jej fantazya zużytkowania jej, potrafi to zrobić tak wybornie, że tajemnica porażki zostaje nieznaną nikomu i nazwisko osoby przegrywającej przepada nazawsze dla galeryi. Dzięki zręcznej strategii, kobieta dowcipna tak umie rozstać się z tym, który ją porzuca, że budzi się w nim nagły żal i sam nie wie, czy nie uwielbia znowu tego, co już dawno uwielbiać przestał“.

„Jeżeli to przecież ona, kobieta dowcipna, chce rozdziału, jeżeli znudzona jednostajnością, lub mając kogoś lepszego na oku zażąda tego, sztuka jest jeszcze doskonalszą — jest arcydziełem. W niczem jej dowcip, jej spryt nie okazuje się tak świetnie jak wtedy, gdy, żegnając jednego wielbiciela, zapewnia sobie drugiego. Sprawa prowadzi się zwykle sposobem peremptoryjnym, to jest ze skróconym terminem, i niéma wtedy na świecie dość mocnego węzła, któryby mógł krępować i powstrzymać kobietę dowcipną choćby na dwadzieścia cztery godziny. Gdyby ten, którego pragnie się pozbyć, zamknął się z nią na wyspie bezludnej i odciętej od świata, znajdzie zawsze środek ucieknięcia mu, lecz należy dodać, że ze względu na spokój sumienia nie zaniedba nigdy napisać na piasku, lub wykrzyknąć: odpływając: — Bądź szczęśliwy!... — lub: — Niech cię Bóg błogosławi!... To dzieło boleści, rozstanie się dwóch istot długo ze sobą złączonych, jeżeli staje się koniecznością, to dla kobiety z sercem rzecz straszna, na którą nie może się zdobyć lata całe, czasem całe życie, ona zaś, kobieta dowcipna, załatwi się z tem w pięć minut i jak doskonale! Ilu-to biedaków, niepotrzebnych już na nic kobietom dowcipnym, widziałem pożegnanych w cudownie gładki sposób i pręciutko wyprawionych za próg raju. Nie należy jednak obgadywać zbyt niemiłosiernie tych dowcipnych osóbek, posiadających przyjemny talencik zręcznego wypraszania za drzwi przeszłości, gdy lepsza teraźniejszość wchodzi oknem, lub znajduje się już w domu. Talent ten powinien budzić w nas uwielbienie, niekiedy wdzięczność a nigdy gniewu, bo pomiędzy najohydniejsze i najnieużyteczniejsze ze wszystkich kłamstw, jeżeli to nie jest wzniosłe kłamstwo poświęcającej się szlachetności, należy zaliczyć kłamanie miłości, udawanie jej pozorów, gdy uczucie samo nie istnieje“.

„Ludzi z godnością osobistą w sercu nie wyprawiają nigdy uroczystych pogrzebów zabitej swej miłości; kobieta dowcipna wie o tem doskonale, to też zasłonka którą tu rzuci na trumnę, może być wszelkiego gatunku, ale nigdy nie jest florą żałobną. Nie byłaby też dowcipną, gdyby składała serce odrzuconego kochanka w urnę metalową i pieczętowała ją potem. Przez siłę swego dowcipu nie zapomina ona nigdy, że może jej być rzeczą potrzebną, aby serce to wzmartwychwstało kiedyś, przytem nie ma powodu tak się wykosztowywać, lada co starczy jej wyśmienicie do dopięcia celu“.

„Najlichszy, najdrobniejszy, najniepodobniejszy do prawdy powód, jest właśnie najdogodniejszym dla niej. Człowiek kochający, któremuby powiedziała: — Rozdziela nas góra... gotów w zapale miłosnym chcieć ją przebyć, ale cóż ma czynić, gdy usłyszy: — Ta oto słomka jest między nami... Jeżeli zna świat i ludzi, oraz sam liczy się do świata, bierze laskę i kapelusz, kłania się i oświadcza mądrze, że słomka to niewątpliwie rzecz bardzo duża, skoro okazała jej się dość wielką na to, co usłyszał. Jeżeli przecież był rozkochanym aż do popełnienia niedorzeczności, zapomina wtedy kapelusza i z gołą głową wraca do domu, lecz wtedy radzę mu, aby natychmiast zapakował manatki i wyjechał na jakie trzy miesiące do Spa, lub Baden, a potem wrócił w nowym kapeluszu, co dowiedzie, że stary, który zostawił, już wyszedł z mody, nie warto zatem poszukiwać go, lub żałować“.

„Kobieta dowcipna zapomina zawsze złe, które wyrządziła, to jest urządza się tak sprytnie, aby nie myśleć o niem. Jedna, naprzykład, powiedziała o człowieku, który o mało co nie przypłacił życiem jej rozłączenia się z nim: — Niezapomniałam go, tylko nie chcę już myśleć o nim.... Nie mogła mu też darować, że czasami jej się przyśnił“.

„Czy dowcipna kobieta ma więcej serca od dowcipnego mężczyzny? Największa różnica polega tu na tem, że dowcipny mężczyzna nie pokazuje nigdy całego serca, kobieta zaś pokazuje go więcej, niżeli ma. Zbytek dowcipu doprowadził przecież niejednę do rzeczy niedorzecznych, gdy zbytek serca skłania tylko czasami niektóre kobiety do tych nierozsądków, godnych uwielbienia, w skutek których zowie się je potem świętemi symplaczkami (une bête du bon Dieu)“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Żelazo.**

POWIEŚCI HISTORYCZNE

Józefa Ignacego Kraszewskiego

Ze zbioru tego wyszła powieść pod tytułem:

SEMKO

(Czasy bezkrólewia po Ludwiku)

Jagiełło i Jadwiga,

w 3-ch tomach

Cena egzemplarza 3 rs.

Dawniej wyszły: **Stara baśń** w 3 tomach. **Lubonie** w 2 tomach. **Bracia Zmartwychwstańcy** w 3 tomach. **Masław** w 2 tomach. **Boleszczyce** w 2 tomac. **Królewscy synowie** w 4 tomach. **Historya prawdziwa o Petrku Właście** w 2 tomach. **Stach z Konar** w 4 tomach. **Waligóra** w 3 tomach. **Syn Jazdona** w 3 tomach. **Pogrobek** w 2 tomach. **Kraków za Łoktka** w 2 tomach. **Król Chłopów** w 4 tomach. **Jelita** w 2 tomach. **Biały książę** w 3 tomach.

Powyższe dzieła znajdują się do nabycia we wszystkich księgarniach. Nadsyłający żądania z prowincyi do jednej z niżej wymienionych firm, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Spółka wydawnicza Księgarzy:

Gebethner i Wolff.— Michał Glücksberg. — Maurycy Orgelbrand.—G. Sennewald.—Edward Wende.

NAUKA PISANIA

dla użytku

Szkół elementar., rzemieśln., i wiejskich

przez

Franciszka Łozińskiego

Cena egzemplarza kopiejek 15.

NAUKA PISANIA

dla użytku

Szkół średnich

przez

Franciszka Łozińskiego

Cena egzemplarza kopiejek 30.

Wyszły w nowem wydaniu nakładem Michała Glücksberga, księgarza przy Ulicy Nowy-Świat Nr 55. Są do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wyszło z druku świeżo dzieło pod tyt.:

NA BIALSKIM ZAMKU

powieść historyczna z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ignacego Kraszewskiego

w 2-ch tomach

Cena egzemplarza 2 rub sr.

Do nabycia w księgarni Michała Glücksberga, Wydawcy, przy Ulicy Nowy-Świat Nr 55, oraz we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ. Wieczność miłości, (poezya), przez M. I.—Grobowiec króla-pokutnika, przez S. K.—Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, (dokończenie), przez Felixa S*** — W książce i życiu, przez M. I. — Nowiny paryzkie.— Przegląd piśmienniczy.—Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a. — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Октября 1882 года.